

miał rosnąć beze mnie. Dobrze, że Filip ma pana – zabrzmiało dziwnie poważnie.

Myślałem, że spałę się ze wstydu. Serce poczułem gdzieś wysoko w gardle. Ciekawe, czy ten facet pograżał mnie świadomie, czy wbijał mnie swoimi poglądami w krzesło zupełnie przypadkowo?

– Szuka pan Małgorzaty? – rzucił gdzieś w przestrzeń ponad moją głowę.

– Tak.

– Czemu tutaj, tak daleko od jej domu? Czemu nie na Wesolej?

– Na Wesolej jej nie ma. Nie ma jej także w pracy. Została Filipa u koleżanki. Wyjechała z panem i zniknęła – palnąłem bez zastanowienia.

– Co? Co proszę? – Jego zaskoczenie wyglądało autentycznie. Odruchowo przysunął fotel do biurka, jakby zmniejszenie dzielącej nas odległości mogło poprawić komunikację. Wyprostował się gwałtownie. Nerwowo przetarł twarz ręką.

– Co pan powiedział? – powtórzył. – Wydaje mi się, że źle pana zrozumiałem.

– Małgorzata zniknęła. – Sam przestraszyłem się tego, co powiedziałem. – Wyjechała z panem i do tej pory nie wróciła – poprawiłem się szybko.

– Niemożliwe... Przed trzema dniami wsadziliśmy ją do autobusu. Byliśmy tam wszyscy: ja, Fabio i Maria... Autobus jechał bezpośrednio z Mediolanu do...

Gwałtowne pukanie do drzwi przerwało naszą rozmowę. Sekretarka wdarła się przebojem w środek naszej rozmowy.

– Dzwonili ze studia, że za dwadzieścia minut wchodzi pan na antenę. Co mam powiedzieć?

– Nic. Zdążę.

*

Umówił się ze mną po audycji. Spotkaliśmy się w małej knajpie sto metrów od studia radiowego. Zadymione wnętrze z cichą

muzyką w tle przywodziło na myśl studenckie czasy. W naszym klubie studenckim przed laty zawsze było szaro od dymu, dźwięki starego fortepianu wtórowały rozmowom, z tyłu sali dochodziły pokrzykiwania tych, którzy spędzali czas, uderzając kijem o bilę, a ja często tańczyłem tam z moją Malgorzatą. W tej mediolańskiej knajpie nieopodal jego studia, tak jak w tamtej naszej, dominowali młodzi ludzie. W tle słychać było ochryply głos jakiegoś włoskiego solisty, a z boku sali, pomimo wczesnej pory, poruszały się w takt muzyki pary. Widziałem, jak Alberto wszedł, jak przepychał się pomiędzy gęsto poustawianymi stolikami. Nie pasował z tą swoją marynarką, wyprasowanymi w kant spodniami i białą koszulą do tego wnętrza. Tu dominowały dzinsy, noszone na wierzch koszule, krótkie spódnice, kuszące koronkami bluzki i obcisłe sweterki...

– Przepraszam, że musiał pan tutaj na mnie czekać. – Rozejrzał się po szarym od dymu wnętrzu. Odwykl chyba od takich lokali, a może też nigdy wcześniej w nich nie bywał. – Nigdy tutaj nie byłem – potwierdził przypadkowo moje przypuszczenie. – Z zewnątrz wygląda to inaczej... Nie wiedziałem, jak jest w środku. Tuż obok jest lokal Faustano. Zupełnie inne klimaty. Może przejdziemy te parę kroków?

– Mnie się tutaj podoba.

– Naprawdę? – Popatrzył na mnie z niedowierzaniem. – Możemy tu zostać, jeżeli pan tak uważa. Ja osobiście gustuję w innych klimatach.

Usiadł niepewnie. Omiótł wzrokiem najbliższe stoliki. Kiwnął ręką na kelnera. Siedzieliśmy, piliśmy kawę, milczeliśmy. Jakby raptem czas przestał się liczyć, złapał oddech i zwolnił, a pośpiech stracił na znaczeniu. Żaden z nas nie spieszył się do rozmowy. Pomyślałem, że Alberto musi trochę ochłoniąć po audycji. W końcu jego pracy zawsze towarzyszą emocje. Przynajmniej tak mi się wydaje. Wejście na antenę, dziesiątki tysięcy ludzi wsłuchanych w jego głos. Wysiew adrenaliny, testowanie wydolności kory nadnerczy, a później nagle koniec. Zszedł z anteny, a w środku nadal wszystko buzuje,

pod czaszką kłębią się myśli niedokończone, poglądy niedopowiedziane, cele, których nie udało się zrealizować, riposty, których wcześniej zabrakło... Powoli powraca spokój. Ciśnienie spada, akcja serca zwalnia, napięcie mięśni się obniża, poziom cukru w surowicy krwi wraca do normy... Jeszcze tylko pojedyncze myśli pędzą przez głowę jak szalone, ale i one zaczynają powoli zwalniać, tracić na znaczeniu, przechodzą do tej części mózgu, gdzie będą przechowywane w pamięci, wrzucane do szuflady z napisem „Przeszłość”. Wszystko się wycisza, uspokaja... Można odtajać. Nagle błogi spokój. Jak na ten spokój ta knajpa była faktycznie odrobinę zbyt tłoczna. Przy stoliku pod ścianą dwóch mężczyzn rozmawiało stanowczo za głośno. Wyglądało to na kłótnię. Raptem zaczęły mnie drażnić podniesione głosy docierające do mnie coraz natarczywiej.

– Jak audycja? – spróbowałem przerwać milczenie. Obojętnym pytaniem rozładować narastające we mnie napięcie.

– Dobrze – odpowiedział błyskawicznie, jakby właśnie czekał na to pytanie. – Powiedziałbym, że bardzo dobrze – rozśmiał się. – Ja w każdym razie jestem zadowolony. Widzi pan, takie tematy zawsze budzą w ludziach emocje. Ludzie lubią się śmiać, ale jeszcze bardziej potrzebują wzruszeń, wielkich, powalających emocji, czegoś, co zapadnie w pamięć na zawsze, co od tego dnia będzie stanowiło część ich samych, scali się z ich duszą, ich wrażliwością, uczuciami, zmieni ich wnętrze. Taki temat powoduje, że nagle każdy może poczuć się lepszy. Każdy może odnaleźć w sobie tę swoją lepszą część, to, o co sam siebie nigdy nawet nie podejrzewał. Emocje... Światem rządzą nie pieniądze, lecz emocje. – Spojrzał na mnie uważnie. – Nie wiem, czy pan to rozumie? – Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Dzisiaj mówiłem o Robercie i Małgorzacie. Nie mogłem się uwolnić od telefonów. Zasypywano mnie pytaniami. Mówiłem o tamtym wąwozie i o nich. O zawilich ścieżkach ludzkich uczuć i ludzkiej wrażliwości, o czymś, czego czasami nie da się nawet bliżej określić. Czujemy więcej, niż potrafimy nazwać. Nasz język jest zbyt ubogi

w stosunku do naszych emocji. Wydaje się płaski, pozbawiony głębi, czarno-biały, pozbawiony całej gamy różnych odcieni szarości. Moi telefoniczni rozmówcy tryskali pomysłami. Imieniem Roberta będzie nazwana szkoła podstawowa w Mediolanie i gimnazjum w małym górskim miasteczku niedaleko od wąwozu. Pojawił się pomysł na film fabularny. Znaleźli się już sponsorzy. Ogłoszony też został konkurs na scenariusz. Nielatwo będzie go napisać. Jest Małgorzata, ale nie ma już Roberta. Tego, co czuł, można się tylko domyślać. Domyśły mogą być błędne... Zobaczymy. My jako stacja radiowa również się zaangażujemy. Stworzymy cykl audycji o nich. Wcześniej był bezimienny bohater z wąwozu, teraz ma imię i pojawiły się skomplikowane międzyludzkie relacje. Bomba! Na tym będzie można jechać tygodniami. To stało się źródłem inspiracji dla innych. Niech pan sobie wyobrazi, że ksiądz z tamtejszej parafii chce postawić kapliczkę, do której w przypadku nagłego załamania pogody będą mogli się schować odwiedzający tamto miejsce turyści. Chłopcy z pogotowia górskiego nazwą imieniem Roberta swój helikopter... Szkoda, że nie mógł pan posłuchać tej audycji. Ominęło pana sporo dobrej energii...

– Niewiele bym z tego zrozumiał – zauważyłem opryskliwie. Coś raptem zakłuło mnie w środku. Poczulem się zazdrosny. Zazdrość to paskudna choroba. Czyżby zabolalo mnie to, że imię Małgorzaty pojawiło się obok imienia Roberta? Że zapewne każdy ze słuchaczy pomyślał, że oni byli parą? – Nie mówię po włosku – dodałem pospiesznie, widząc, że Alberto zaczął mi się nagle przyglądać.

Patrzył na mnie z nieukrywanym rozbawieniem. Raptem uśmiech zastygł mu na twarzy. Zamówił wino, rozkoszował się podanym trunkiem. Podnosił kieliszek do góry, przyglądał się rozkolysanej powierzchni czerwonego płynu, omiatającej raz po raz ścianki kieliszka. Hipnotyzował ciecz wzrokiem. Milczał. To ja kolejny raz nie wytrzymałem tego milczenia. Aż mnie w środku skręcało z ciekawości, o czym on myśli.

– Wsadziliście państwo Małgorzatę do autobusu? – próbowałem wrócić do przerwanej przed dwiema godzinami rozmowy. W końcu po to tutaj przyjechałem. To, co dusiło mnie w środku, to była tylko zazdrość, urażone ambicje, pretensje do samego siebie, że wszystko tak schrzaniłem.

– Tak, odprowadziliśmy ją na autobus – odpowiedział, powoli cedząc każde słowo. – Cały czas się nad tym zastanawiam. Nie mogę tego zrozumieć. Powiedział pan, że ona nie wróciła do domu, a ja nie mogę w to uwierzyć. Ta informacja nie może jakoś do mnie dotrzeć. Tuż po audycji próbowałem do niej zadzwonić. Jej telefon milczy... Abonent chwilowo niedostępny. Tak jakby padła jej komórka albo nie miała zasięgu... Dzwoniłem też na numer domowy. Ma pan rację, nie ma jej na Wesołej... Zadzwoniłem do jej pracy. Nikt nie wie, co się stało. Miała wrócić przed dwoma dniami... Zadzwoniłem do doktora Prądyńskiego. Zna pana... Mówił, że jest pan lekarzem... Proszę się nie czuć urażonym – zapewne miało to zabrzmieć przepraszająco. – My się przecież nie znamy. Dlaczego miałbym panu bezwzględnie wierzyć? Małgorzata powiedziała mi przed paroma dniami, że ojciec Filipa gdzieś się zapodział po drodze. Dlaczego miałem raptem bez zastrzeżeń uwierzyć, że się tak nagle odnalazł?

– Pan mnie sprawdzał? – Aż mnie zatkało. Niech go szlag trafi, ja czekałem na niego w tej knajpie, a on wydzwaniał po moich znajomych.

– Można tak powiedzieć. Chociaż myślę, że da się na to znaleźć zupełnie inną nazwę... Powiedzmy, że nie lubię wychodzić w życiu na naiwniaka. Nie należę do ludzi łatwowiernych. Pewna doza wyważonej nieufności wbrew pozorom nie przeszkadza, a wręcz pomaga w kontaktach z ludźmi. Życie rzadziej zaskakuje, rzadziej przynosi przykre rozczarowania... Mówił pan, że nazywa się pan Maciej Żmudzki. W dobie Internetu pobieżne sprawdzenie czyjejs tożsamości nie jest rzeczą specjalnie trudną. Sprawdziłem. Był pan na studiach w jednej grupie z Małgorzatą. Pana zapowiadającą się błyskotliwie karierę

zawodową przerwał wyjazd za granicę. Tam rozpoczął pan kolejną specjalizację. Wyjeżdżając, porzucił pan pracę naukową. Przed paroma miesiącami rozstał się pan z zawodem, ku zdziwieniu oczarowanych panem pacjentów. Szkoda. Ponoć był pan wyjątkowo dobrym lekarzem. Bił pan wśród pacjentów rekordy popularności. Porzucił pan zawód z niewyjaśnionych przyczyn. W każdym razie nie dla pieniędzy. Ludzie w życiu dokonują czasami wyborów zupełnie dla innych niezrozumiałych... Rzucił pan medycynę dla pracy w podrzędnym biurze podróży. Musiał pan być bardzo zdesperowany...

W miarę wypowiedzianych słów denerwował mnie coraz bardziej. Powoli wkurzało mnie w nim wszystko: przyлизane włosy, które wydawały się aż ociekać nadmiarem żelu, śnieżnobiała koszula, ciemne, idealnie wyprasowane spodnie, buty, których czubki przypominały taflę lustra, nonszalancki sposób bycia, niezachwiana pewność siebie i uzurpowanie sobie prawa do oceniania innych. Boże, jakim prawem ten pajac grzebie w moim życiu? Wchodzi z butami w moją prywatność?

– No więc, reasumując... – przerwałem mu gwałtownie. Zabrzmiało to ostro, wrogo. – Powiedziałem panu prawdę.

– Tak. Co, muszę powiedzieć, zdziwiło mnie. Ludzie rzadko mają odwagę mówić prawdę...

– Mówił pan, że odprowadziliście Małgorzatę do autobusu... – próbowałem kolejny raz wrócić do interesującego mnie tematu.

– Autobus był na końcu... Z Polski przyjechaliśmy najpierw do Mediolanu. Maria i Fabio bardzo chcieli poznać Małgorzatę. Odkąd dowiedzieli się o jej istnieniu, nie mogli się doczekać spotkania. Maria to moja żona. Fabio to mój ośmioletni syn. Maria jest bardzo romantyczna. Chciała koniecznie poznać kobietę, którą ktoś kochał tak bardzo, że chciał jej oszczędzić smutku rozstania, chciał rozplynać się w czasie, żeby odejść z jej życia, nie pozostawiając po sobie ani rozpacz, ani lez, ani bólu. Maria zawsze podziwiała Roberta. W końcu nic dziwnego, niezwykle człowiek, który oddał życie za naszego syna.

Od trzech lat on żyje z nami w naszym domu. Mieszka z nami pod jednym dachem jak ktoś najbliższy. Fabio zaczyna i kończy każdy dzień od modlitwy za niego. Maria nosi do kościoła kwiaty w podziękowaniu za to, że nasze drogi życia się przecięły. Nagle ten bliski nam człowiek zyskał imię, nazwisko, swoją historię. Stał się realny. Nie przypomina już anioła, który nagle zstąpił na ziemię, żeby oddać życie za naszego syna. Nie był wysłannikiem Boga. Był człowiekiem. Był człowiekiem z krwi i kości. Miał swoją przeszłość, swoje smutki i radości, swoje cierpienia, wzloty, upadki i miłość, która była silniejsza od wszystkiego. Miał Małgorzatę. Mówilem już, moja żona jest bardzo romantyczna... Historia Romea i Julii należy do jej ulubionych... Już wiele razy byliśmy w Weronie. Maria kocha Weronę... Wie pan, co ona mi ostatnio powiedziała? Że dla niej teraz Szekspir nagle wyblakł, a dzieje Romea i Julii wydają się mniej romantyczne od losów Roberta i Małgorzaty. Raptem historia tych dwojga przyćmiła wszystko... Pewnie głupio, że to panu mówię. Nie tego pan ode mnie oczekuje...

Nie tego, oczywiście, że nie tego! Niech tego Włocha szlag trafi! Nie cierpię faceta! I bez niego wiem, że moje uczucie jest mało przekonujące. Jestem błądliwy, mdły i niewyraźny. Uniosłem się przed laty idiotyczną dumą, źle pojętym honorem, jakbym to ja był najważniejszy, a nie Małgosia. Przesrałem wszystko. Odpadłem w przedbiegach. Robert zdystansował mnie swą miłością już na starcie. Zostałem ze stopami w bloku, kiedy on popędził dalej. Na miejscu Małgorzaty przekreśliłbym mnie już na zawsze. Na miejscu Filipa nie chciałbym poznać takiego ojca. Nieważne! Znowu koncentruję się na sobie, użalam się nad sobą zamiast szukać Małgorzaty.

– Nie tego pan ode mnie oczekuje, prawda? – powtórzył Alberto. A ja kolejny już raz pomyślałem, że to wyjątkowo upierdliwy facet.

– Nie, nie tego – burknąłem pod nosem. – Oczywiście, że nie tego – powtórzyłem głośniejszym głosem. – Analizę porównawczą pamiętam jeszcze ze szkoły. Sam mogę sobie z tym poradzić...

Wybuchnął śmiechem. Śmiał się szczerze, donośnie. Zaskoczył mnie. Tego się nie spodziewałem.

– Jest pan podobny do mnie – powiedział nieoczekiwanie. – Nie lubi pan opowieści o innych facetach... Ja też nie cierpię być z nikim porównywany. Gdyby Romeo żył, to pomimo że jest idolem mojej żony, udusiłbym go własnymi rękami. Na czym to ja skończyłem? – spytał, nagle poważniejąc.

– Na przyjeździe do Mediolanu...

– No właśnie. Prawie zapomniałem. Małgorzata spodobała się Marii, Maria Małgorzacie. Miały sobie dużo do powiedzenia. Spędziły dzień na włóczędce po Mediolanie. Były się pomodlić w katedrze Narodzin Świętej Marii. Wieczorem poszły do Teatro alla Scala. Jakimś cudem udało się Marii zdobyć bilety... Był pan już kiedyś w Mediolanie?

– Dawno temu, bardzo krótko, tylko przejazdem...

– Musi pan kiedyś przyjechać na dłużej. To piękne miasto i mówię to nie dlatego, że tu mieszkam. Ja pochodzę z małej wioski w Toskanii. Moi rodzice mają tam winnicę. Pił pan kiedyś chianti classico? To wino z moich okolic... Tam żyje się spokojnie. Czas płynie wolniej. Można zapomnieć o wszystkim i odpocząć. Maria z Fabio często spędzają tam wakacje. Ja zakochałem się w Mediolanie. Lubię to miasto. A katedrę polecam. Jest największą gotycką budowlą na świecie, należy też do najpiękniejszych budowli sakralnych w Europie...

– Może kiedyś... – przerwałem mu rozdrażniony. Jakoś nie miałem ochoty rozmawiać o zabytkach Mediolanu.

– Najwięcej czasu Maria i Małgorzata spędziły w katedrze... Obszerne wnętrza stwarza idealne warunki do rozmowy. Cisza, spokój, ułatwiający zwierzenia półmrok, gdzieś z przodu przy ołtarzu nikle światło wiecznej lampki... Nie wiem, o czym rozmawiały. W każdym razie Maria stwierdziła potem, że nie dziwi się Robertowi, że zakochał się w Małgorzacie. Ona jest dobra i piękna. Ma w sobie tyle ciepła i dobroci, że potrafiłaby poruszyć kamień. Że też wszystko zawsze zależy od punktu widzenia...

Znów szlag mnie trafił. Jakim prawem on mnie ocenia?! Nie zna mnie. Tak naprawdę nic o mnie nie wie. Nadęty dureń w marynarce, któremu się wydaje, że może obrażać innych, bo takie prawo daje mu status społeczny wynikający z nazwy firmy, w której uszyto garnitur, z metki na kołnierzyku koszuli, z ilości złota użytego do zrobienia spinek do mankietów. Nie cierpię takich ludzi. Jeszcze nikt nie wie, kim są, ale już wszyscy wiedzą, że są bogaci. Miara człowieka mierzona grubością portfela i liczbą zer za cyframi na koncie. Na wizytówce powinien mieć napisane tylko jedno słowo „ja”, bo przecież reszta się sama przez się rozumie i powinna być dla wszystkich znana i oczywista. Jak Małgorzata mogła mu zaufać? Ona była i jest naiwna jak dziecko. Każdy może ją skrzywdzić. Kiedyś ją broniłem przed złem, a później zostawiłem ją samą. Zachowałem się jak kompletny dupek...

– *Ad rem* – wszedłem mu w słowo. – Może подарujemy sobie te osobiste wycieczki...

– Nie chciałem pan urazić. – Wcale nie zabrzmiało to przeprasząco. – Próbuje zrozumieć... Chciałbym pomóc...

„Jakoś tego nie widać” – pomyślałem.

– Fabio też bardzo polubił Małgorzatę – wrócił do przerwane opowiadania. – Nic dziwnego. Mieli dużo wspólnych tematów. Mój syn uwielbia historię i podróże, podobnie jak Małgorzata. Ona pięknie opowiada. On lubi słuchać. Kupiła go sobie od pierwszego uśmiechu... Zwlekaliśmy z wyjazdem w Dolomity. Zleciłem tam wykonanie czegoś. Chciałem, żeby wszystko było już gotowe, kiedy tam przyjedziemy. Wybraliśmy się we czwórkę do wąwozu: Małgorzata, Maria, Fabio i ja. Udało się. Zdążyli wykuć imię, nazwisko, daty urodzin i śmierci i ten napis po polsku. Fotograf naniósł zdjęcie na porcelanową płytkę, którą wmurowano w bryłę skalną tuż obok krzyża i napisów. Ten grób, który przez ostatnie trzy lata był mekką dla turystów, przestał być bezimienny. Robert przestał być bohaterem tamtej jednej chwili. Miał swoje korzenie, swoją drogę, swój krzyż. Mojej rodzinie stał się jeszcze bliższy niż poprzednio. Pan zna tę historię?

– Słyszałem...

– Jeszcze raz odżył w nas tamten dzień. Pokazałem Małgorzacie ścianę, na którą się wspinałem, półkę skalną, gdzie siedział Fabio, słuchając muzyki, te skały, którymi przeszła lawina, miejsce w wąwozie, gdzie zginął Robert. Patrzyła, milczała, rozglądała się wkoło. Zostawiliśmy ją na chwilę samą. Nie chcieliśmy jej przeszkadzać. Obserwowałem ją z daleka. Usiadła na głazie tuż przy strumieniu. Raz po raz przesuwała spojrzeniem po ścianie, półce skalnej, rumowisku pozostałym na dnie wąwozu po przejściu tamtej lawiny. Oparła łokcie na kolanach. Dłońmi podparła głowę. W ręku trzymała MP3. Słuchała muzyki. Czego można słuchać w takim momencie? Jak się później okazało, słuchała *Just for You* Giovanniego Marradiego. Słuchała tego w kółko, od początku do końca i znowu, i znowu. Jakby uczyła się tych dźwięków na pamięć. A może dodawała do nich obrazy. Starła się ubrać w tę muzykę to, co tam zastała. Usiedliśmy w pewnym oddaleniu. Nie odrywaliśmy od niej wzroku. Nie rozmawialiśmy z sobą. Jakoś nie znaleźliśmy słów, które warto było wtedy wypowiadać. Fabio podbiegł do niej, dopiero kiedy wstała. Podeszli razem w tamto miejsce. Fabio zapalił świece...

Jego głos docierał do mnie stłumiony, jakby zza ściany. Przed oczami miałem tylko Małgorzatę. Potrafiłem odtworzyć w myślach każdy szczegół jej twarzy. Długie jasne włosy opadające na ramiona, intensywnie niebieskie oczy, mały pieprzyk tuż przy lewym uchu, regularne brwi, delikatnie wykrojone usta... Bylem w tamtym wąwozie. Mogłem sobie to wszystko wyobrazić. Siedziała tam sama, nagle skonfrontowana z prawdą, która na pewno ją przerosła, bo przecież każdego by przerosła. To nie były już tylko słowa. To wydarzyło się naprawdę, przed trzema laty, właśnie w tym wąwozie. Robert tamtego dnia zdecydował się popełnić samobójstwo. Starannie się do tego przygotował. Porozmawiał z gospodarzem swojej kwatery, kupił pocztówki z widokami Dolomitów w różnych porach roku, wpisał treść, zaadresował, ustalił daty ich wysyłania. Pierwsze

wysłał poprzedniego dnia na poczcie – jedną do Malgorzaty, drugą do Prądkyńskiego. Ordynatora poinformował o swojej decyzji. Dużo mu zawdzięczał. Wiele razem przeszli. Stary, zdaniem Roberta, zasługiwał na szacunek. Uważał, że tak jest uczciwie, że powinien go poinformować. „Nareszcie czuję się wolny...” – napisał. Wiedział, że ordynator zrozumie. Był już gotów. Musiał się spieszyć. Z każdym dniem czuł się coraz gorzej. Jeszcze dzień, dwa i nie będzie w stanie się zabić. Zabraknie mu sił i możliwości. Chciał zginąć tak, jak żył. Kamień wyrwany spod nóg, zły chwyt, brak asekuracji. Krótki lot w dół z widokiem tego, co zawsze kochał, przed oczyma. Ten widok skał, zieleni drzew i błękit nieba miały w nim zostać już na zawsze. Żadnego szpitala kafelków, chłodu i obojętności... Żadnego współczucia i żadnej litości! Żadnego pogranicza życia i śmierci. Los przygotował inny scenariusz. Nie spadł ze skały. Zginął, ratując życie małemu Fabio. Ostatnim rzutem na taśmę został bohaterem. Gdyby nie ten konkurs na antenie, to nikt nigdy nie dowiedziałby się prawdy. Wszystko przebiegłoby zgodnie z planem. Pocztówki przychodziłyby coraz rzadziej i rzadziej. Codziennosc wyparłaby z pamięci wszystkie wspomnienia, emocje by ostygły i wygasły. Aż kiedyś przestałyby przychodzić pocztówki. Stare znajomości chłodną, czas pędzi dalej, życie każdego dnia przynosi zmiany... To przecież normalne, że starzy znajomi gdzieś zostają, a my idziemy dalej. Głupia audycja zepsuła wszystko...

– Pan mnie chyba nie słucha... – wyrwał mnie z zamyślenia głos Alberto.

– Słucham – skłamałem.

– Wątpię – wybuchnął śmiechem. – Od paru minut nic już nie mówię. Pan nawet nie zauważył, że zamilkłem.

– Zamyśliłem się trochę – przyznałem niechętnie. – Przyszło mi nagle na myśl, że dziwne bywają zrządzania losu.

*

– Mario, chciałem ci kogoś przedstawić.

Stojąca przede mną kobieta wyglądała bardzo młodo. Była szczupła i drobna. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia parę lat. Ciemne włosy opadały jej na ramiona, a duże czarne oczy przyglądały mi się uważnie. Ubrana w czarne spodnie i obcisły szary sweterek, z podwójnym sznurem oplatających szyję niesymetrycznych czerwonych koralowców, wyglądała jak nastolatka.

– To jest pan Maciej Żmudzki – przedstawił mnie Alberto. Nazwisko wycedził powoli, jakby to, że ma zabrzmieć poprawnie, było dla niego niezwykle ważne. – Mówiłem ci o nim przez telefon. Pan Maciej przyjechał z Polski.

– Wspominałeś, mówiłeś, że będziemy mieli gościa z Polski. Przygotowałam kolację. Jest pan, jak Alberto, dziennikarzem? Zwiedza pan Mediolan? – Obrzuciła mnie przelotnym, obojętnym spojrzeniem. Wyrecytowała zdawkowe, grzecznościowe pytania. – Jakiś felieton, a może reportaż...? Mediolan to piękne miasto...

– Pan Maciej nie jest dziennikarzem. Przyjechał szukać Małgorzaty – przerwał jej Alberto.

– Małgorzaty? U nas? – Była zaskoczona. – Skąd ten pomysł? Małgorzata już od trzech dni jest w Polsce.

– Pan Maciej twierdzi, że Małgorzata nie wróciła do domu – ubiegł mnie z odpowiedzią Alberto.

– To jest jakieś nieporozumienie. – Spojrzała na mnie zdziwiona. Cofnęła się bezwiednie o krok. Przyglądała mi się uważnie. – Niemożliwe – stwierdziła stanowczo. – Sami wsadziliśmy Małgorzatę do autobusu. Autobus jechał prosto do Polski. Nie było żadnych przesiadek... Nie było słyhać o żadnym wypadku... To jakieś nieporozumienie... – powtórzyła. Patrzyła na mnie coraz bardziej przerażona. – Co ty na to, Alberto? Przecież to jakieś bzdury! – Przerzuciła wzrok na niego, jakby raptem u niego chciała szukać pomocy.

Alberto objął ją ramieniem.

– Niemożliwe, a jednak... Sprawdziłem. Małgorzata nie odbiera żadnych telefonów. Nie odpowiada na SMS-y. Nie ma jej też w pracy. Dziecko przebywa u przyjaciół, którzy twierdzą, że wyjechała ze mną i nie wróciła...

– Niemożliwe – przerwała mu gwałtownie. – Przecież nic złego nie mogło się wydarzyć... To wszystko jest już dostatecznie okropne... Nie potrzeba niczego więcej. Już wystarczy. Boże, to jest jak w tamtym moim śnie... Niemożliwe... Mówiłam ci o tym. – Spojrzała na Alberto. – To był taki dziwny sen. Obudziłam się w nocy złana potem. Śniło mi się, że Małgosia wsiadła do autobusu i zniknęła. Śmiałeś się ze mnie... Mówiłeś, że to wszystko przez miłość do dzieł Szekspira. Zginął Romeo, to umarła i Julia. Romeo i Julia odeszli razem...

– To był tylko sen, kochanie – usłyszałem spokojny głos Alberto. – Przecież rozróżniasz sny od rzeczywistości...

– A jednak jej nie ma...

– Kochanie, nie męczmy naszego gościa. On ślania się już na nogach ze zmęczenia... Wyruszył w nocy. Rano był w wąwozie. Teraz w Mediolanie. Czekał na mnie, kiedy prowadziłem audycję. Słuchałeś mnie może? – pozornie zmienił temat.

– Zawsze słucham twoich audycji. – Spojrzała na niego. Nagle jej lęk minął, a przerażenie zastąpił ciepły uśmiech. – Przecież wiesz o tym – powiedziała kokieteryjnie. – To dzięki nim jesteśmy razem...

– Ta była wyjątkowa... – wszedł jej w słowo.

– Wiem, opowiadałeś już nie o nieznanym młodym mężczyźnie, tylko o Robercie. Mówiłeś nie o nim, lecz o nich. Mówiłeś o Robercie i Małgorzacie...

– No właśnie – przerwał jej, jakby obawiał się tego, co może jeszcze powiedzieć. – Nasz gość czekał na mnie ponad dwie godziny. Ma za sobą długi dzień, który trwa nieprzerwanie od wczorajszego poranka. Musi być bardzo zmęczony. Zaproponowałem panu Maćkowi nocleg u nas. Bez sensu, żeby się włóczył po opustoszałym już mieście w poszukiwaniu jakiegoś hotelu. Zresztą o tej porze roku raczej trudno o nocleg

w Mediolanie... Dziś rozpoczęły się Mediolańskie Targi Designu. Przyjechali projektanci z całego świata...

– Nie musisz się tłumaczyć. To bardzo dobry pomysł. Lubię gości... – Zabrzmiało to nie całkiem szczerze.

– Rano wybieramy się z panem Maćkiem do wąwozu. Może pojedziesz z nami? Przesuniemy o dwa dni nasz wyjazd na urlop. Nie można tego tak zostawić. Trzeba odnaleźć Małgorzatę. Może tam pojechała. Może chciała być tam sama. Ochłonęła, dotarło do niej wszystko i chciała tam jeszcze raz pojechać... Na pewno nic się nie stało – dodał pospiesznie, widząc malujące się na twarzy Marii przerażenie. – Może małe problemy komunikacyjne...

Nie słuchała go. Od dłuższej chwili nie odrywała ode mnie wzroku. Przyglądała mi się uważnie. Mierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Kim pan jest? – spytała, podając mi rękę.

– Jestem przyjacielem Małgorzaty. Nazywam się...

– Nazwisko już słyszałam... – przerwała mi gwałtownie. – Nie o nazwisko pytam. Nazwisko nic mi nie mówi... Brzmi obco. Jest pan Polakiem, jak Małgorzata i Robert. Nigdy nie byłam w Polsce. Muszę tam kiedyś pojechać...

Dotyk jej ręki był dziwnie ciepły.

– Jest pan przyjacielem Małgorzaty czy Roberta? – chciała się upewnić. Jeszcze raz usłyszeć coś, co już przecież powiedziałem.

– Małgorzaty – odpowiedziałem pospiesznie. – Roberta nie znałem. Raz widziałem go z daleka...

„O jeden raz za dużo” – przemknęło mi przez myśl. Tamtego razu nigdy nie zapomnę. Bez względu na to wszystko, o czym się ostatnio dowiedziałem.

– Nie lubił pan Roberta? – Pytanie dotarło do mnie z odali, jakby z innej rzeczywistości.

– Nie miałem go za co polubić – palnąłem bez zastanowienia. – Był mi obojętny. Zupełnie go nie znałem...

Spojrzała na mnie przelotnie. Uśmiechnęła się niepewnie. Zaprosiła do salonu. Posadziła w głębokim fotelu. Migotliwe

światło świec, pachnące bazylią jedzenie, dobre tokańskie wino, to wszystko sprawiło, że raptem poczułem się jeszcze bardziej znużony. Alberto opowiadał coś o swojej rodzinie, o winnicy, o tajnikach produkcji tego wina. Moje myśli płynęły coraz wolniej i wolniej. Powieki miałem jak z ołowiu. Walczyłem, żeby nie zasnąć. Robiło mi się coraz bardziej błogo. To był rzeczywiście bardzo długi dzień.

– Nie potrafi pan kłamać – jak z zaświatów dotarł do mnie głos Marii. – Niech pan tego nie robi... Nagle wszystko staje się niespójne. Wypowiadane słowa przeczą gestom... Lepiej nic nie mówić niż kłamać. Pan nie lubił Roberta...

Wylądowałem w pokoju gościnnym, którego wielkie okna wychodziły na oświetlone latarniami alejki ogrodu. Padłem na łóżko, nie rozbierając się nawet. Wydawało mi się, że obudził mnie chłód wdzierający się do pokoju przez niedomknięte okno. „Nawet tutaj bywają chłodne noce” – pomyślałem odruchowo. Chyba jednak obudziło mnie coś zupełnie innego. Usłyszałem ich głosy dochodzące z położonej piętro niżej werandy. Pomimo bardzo późnej pory Maria z Alberto siedzieli na werandzie. Zapomnieli na chwilę o moim istnieniu albo o niedomkniętym oknie. Rozmawiali dość głośno po włosku. Sądząc z intonacji głosów, wyglądało to na kłótnię, w której pomiędzy dziesiątkami obcych mi słów pojawiała się w kółko imię Roberta na przemian z imieniem Małgorzaty. Że też ja nie znam włoskiego...

*

– Pan wybaczy – powiedziała Maria, stawiając przede mną filiżankę z parującą kawą. – Śniadanie zjemy sami. Alberto pojechał jeszcze na chwilę do pracy. On tak zawsze robi przed urlopem... Nie może się wyciszyć, skończyć. Jemu się wydaje, że jak go nie ma w rozgłośni, to nikt nie potrafi poprowadzić audycji, że jak wróci po dwóch tygodniach, przyjdzie mu z gruzów odbudowywać jego radio.

Usiadła naprzeciw mnie. Założyła nogę na nogę i zaczęła przyglądać się stojącej na stole filiżance z kawą. Ze spiętymi z tyłu włosami, w jasnym podkoszulku i w krótkich spodniach wyglądała dzisiaj jeszcze młodziej. Ileż lat może mieć ta dziewczyna? Ile miała lat, kiedy urodziła Fabio?

– Państwa syn w szkole?

– Nie. U rodziców Alberto, w Toskanii. Zawieźliśmy go tam na parę dni. Ma teraz ferie w szkole. My jedziemy w okolice Neapolu, dokładnie do Torre del Greco. Mamy tam dom. Alberto lubi tam odpoczywać. Fabio nie chce z nami jechać. Jakoś nie może sobie tego wszystkiego poukładać. Pan wie, dzieci są inne niż my, bardziej wrażliwe od dorosłych. W inny sposób tłumaczą sobie wiele rzeczy. Układają je sobie po swojemu, tak żeby mogły je zaakceptować. Dla Fabio Robert był aniołem, który zesłany przez Boga zstąpił na ziemię, żeby uratować mu życie. Ten anioł był boski... Pewnie trudno to panu zrozumieć. Ten anioł nie miał przeszłości. Został stworzony na ratunek, a potem wrócił do nieba, gdzie żył nadal wśród wielu innych podobnych mu aniołów. Można mu było dziękować i dwa razy dziennie modlić się za niego, ale był abstrakcją... Kiedy stało się tamto nieszczęście, Fabio miał pięć lat. Tak naprawdę niewiele z tego pamięta. Zna te wydarzenia raczej z naszych opowiadań niż ze wspomnień. To, co straszne, wyparł z pamięci. Stworzył własną interpretację tamtego dnia. Często o tym opowiadał kolegom i zawsze mówił, że ma w niebie swojego Anioła Stróża, który go już raz uratował. Pamiętam, jak kiedyś Vittorio – syn mojej siostry, starszy kuzyn Fabio – powiedział, że widział w Internecie zdjęcie, że tam było mnóstwo krwi, a anioły chyba nie krwawią... Siedziałam wtedy w pokoju obok. Serce mi na chwilę zamarło z przerażenia. Nagle Fabio odpowiedział, że Jezus na krzyżu też krwawił, a jest przecież synem Boga...

Zamilkła. Utkwiła wzrok w zieleni i słońcu za oknem. Pomyślałam, że nie tylko w życiu Fabio wszystko stanęło na głowie. Jej życiem też zatrzęsło.

– Rozumiem...

– Nie jestem pewna, czy jest pan w stanie to zrozumieć – przerwała mi dziwnie gwałtownie. – Ta prawda była nikomu niepotrzebna. Alberto nie powinien był jechać do Polski. Nie miał do tego prawa. Być może gdyby zastanowił się nad tym chociaż przez chwilę, to by tam nie pojechał. Przewrócił do góry nogami życie wielu ludziom. To typowy dziennikarz. Goni za sensacją. Sensacja przekłada się na liczbę odbiorców, ci przekładają się na pieniądze... Zapomniał na chwilę, że są rzeczy prywatne i zawodowe. Ta jest najbardziej prywatna z prywatnych, a on upublicznia ją bez przerwy... Pojedzie tam z panem, żeby móc później dopisać dalszy ciąg tej zajmującej historii. Zaginęła Małgorzata. Pojawił się pan. To kolejna gratka. Wspomniał mi, że jest pan ojcem dziecka Małgorzaty. Sensacja goni sensację. Historia na wiele miesięcy, a może lat, do opowiadania na antenie. Alberto jest w swoim żywiole. Nieważne, że życie innych ludzi staje na głowie... Dziennikarze obnażają, gloryfikują, ranią niepotrzebnie innych, odsłaniają prawdę, która nikomu do niczego nie jest potrzebna. Nie liczą się z nikim, nawet sami z sobą. Prawda czasami może zabić. Po co? Przecież to jest zupełnie pozbawione sensu. Przekłęci dziennikarze. Każdy z nich sprzedaje duszę diabłu za sensację...

Zatkało mnie. Zaniemówiłem z wrażenia. Mówiła rzeczy, które przecież wiedziałem, ale interpretowałem je zupełnie inaczej. Kolejny raz w życiu przyszło mi na myśl, że nie ma prawdy bezwzględnej, prawda jest pojęciem względnym, zależnym od interpretacji.

– Wiem, że to jest niemożliwe, ale gdybym tego nie wiedziała, to sądziłabym, że on sam ukartował to wszystko...

Raptem spojrzała na mnie. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Podsunęła mi pod nos koszyk z pieczywem. Sama zajęła się rozkrajaniem bułki i smarowaniem jej masłem.

– Proszę jeść! – zabrzmiało ciepło i łagodnie. – Kawa już ostygła. Nie ma nic gorszego na świecie niż zimna kawa. Zaraz zaparzę świeżą. Latte, jak przed chwilą, czy cappuccino? Dla

siebie zrobię cappuccino z syropem klonowym. Syrop klonowy zawsze poprawia mi humor... Do tego pasują najbardziej na świecie konfitury malinowe. Te konfitury polecam w ciemno. Nie znam nikogo, komu by one nie smakowały. To dzieło mamy Alberto. Ona w kuchni jest genialna...

Zdziwiła mnie nagle zmiana jej tonu i nastroju. Jak za pstryknięciem palcami ponury nastrój zniknął, głos stał się ciepły i wesoly, a przede mną siedziała znowu beztroska młoda dziewczyna. Usłyszałem tupot butów po drewnianych schodach i nagle ta zmiana nastroju stała się dla mnie jasna. „Ma lepszy słuch ode mnie” – pomyślałem. Musiała usłyszeć samochód wjeżdżający na podjazd pod domem, może chrobot klucza przekręcanego w zamku albo ciche stuknięcie drzwi wejściowych. Każdy zna odgłosy swojego domu.

– Jak tam śniadanie, kochanie? Ja też już bardzo zgłodniałem... – głos Alberto brzmiał pogodnie. W niczym nie przypominał ostrego tonu, który słyszałem w nocy.

*

– Potrzebuję jeszcze około pół godziny. – Alberto spojrział w moją stronę przepaszająco. – Muszę rzucić okiem na pewien wywiad... Za pół godziny ruszamy. Piętnaście po dziewiątej będę czekał na was przy samochodzie...

Dźwignął się od stołu. Zdjął z kolan serwetkę. Położył ją złożoną w kwadrat na blacie, tuż przy równiutko postawionym talerzu i idealnie położonych na nim sztuczkach. Odruchowo poprawił filiżankę po kawie. Pedantycznie przysunął krzesło do stołu. Podziękował za śniadanie. Przytulił Marię. Ucałował ją w policzek. Ruszył w kierunku schodów. Dziewczyna odprowadziła go wzrokiem. Uśmiech zastygł na jej twarzy. Wydawało mi się, że wsłuchuje się uważnie w oddalające się kroki. Stukot butów po drewnianej posadzce ucichł. W jego miejsce pojawiło się delikatne trzaśnięcie zamykanych drzwi. Zostaliśmy sami.